Nr. 38. We Lwowie dnia 18. Września 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Pobratymstwo u Serbów.

Opracował J. V. Lego.*)

Wśród wielu pięknych zwyczajów i obyczajów, spotykanych u Serbów, pobratymstwo zajmuje, jeżeli już nie najpierwsze, to conajmniej jedno z pierwszych miejsc. Niema chyba drugiego narodu na świecie, któryby się mógł poszczycić zwyczajem, do tak wysokiej godności podnoszącym przyjaźń, jak tego przykład widzimy w pobratymstwie i posiestrzymstwie serbskiem.

Skoro dwie osoby — tej samej lub różnej płci — nie związane pokrewieństwem, lecz żywiące ku sobie szczere przywiązanie, złożą publicznie, wobec świadków uroczystą przysięgę na wierną, nie cofającą się przed żadną ofiarą przyjaźń, która ma trwać aż do śmierci, — to połączenie się takiemi węzłami, nosi u Serbów nazwę pobratymstwa i posiestrzymstwa. Duchowy ów związek cieszy się u nich większem poszanowaniem, niż najbliższe węzły krwi, bo — jak powiadają — bracia rodzeni są sobie braćmi jedynie wskutek urodzenia, a pobratymowie z woli boskiej. Istnieje też przysłowie, które głosi, że bracia mogą się pokłócić ze sobą, ale harmonji pomiędzy pobratymami żadna siła nie zdoła zamącić.

Pobratymstwo bywa najczęściej wynikiem długoletniej, wielokrotnie wypróbowanej przyjaźni. Zdarza się atoli, że ktoś w nagłem znajdujący się niebezpieczeństwie, wezwie pomocy zgoła nieznanej, a nawet wrogiej sobie osoby, obiecując zostać w przyszłości jej pobratymem. Owóż w takich wypadkach obowiązkiem jest wezwanego pośpieszyć na ratunek, a w dalszym ciągu ślubować pobratymstwo ocalonemu przez siebie człowiekowi. A związek ów tak doniosłe znaczenie posiada w oczach Serba, że odda on bez wahania całe mienie i życie poświęci dla dobra człowieka, z chwilą gdy ten stał się dlań pobratymem, choćby nawet ów człowiek należał przedtem do najzaciętszych jego wrogów.

Pobratymstwo rozciąga wszechwładne swe panowanie nawet na sny Serbów. Wchodzi ono bowiem w życie i staje się obowiązującem już wówczas, gdy komuś przyśni się naprzykład, że pewna osoba ocaliła mu życie i ślubowała pobratymstwo. To też ów, co miał podobny sen, powinien udać się natychmiast po przebudzeniu do wymarzonego pobratyma i prosić go, aby raczył stwierdzić łączący ich związek uroczyście, podług prawa i zwyczaju.

Uroczystość zaślubin pobratymczych odbywa się bez obrzędu kościelnego, jeżeli jedna lub obie strony są mahometańskiego wyznania. Wystarcza w takim razie podanie sobie rąk wobec świadków, pocałunek i złożenie uroczystej przysięgi, jako ci dwaj chcą sobie być »braćmi po Bogu na tym świecie«. Między Serbami chrześcijanami zaślubiny odbywają się też niekiedy bez udziału duchowieństwa, ale obowiązująco w kościele, w obecności krewnych i przyjaciół. Natomiast Serbowie rzymsko-katolickiego obrządku, ślubują sobie pobratymstwo zawsze przed księdzem. Ceremonjał odbywa się w sposób następujący.

*) Autor niniejszej rozprawki, J. V. Lego, oddaje się z takim zamiłowaniem studjom nad południową Słowiańszczyzną, z jakiem nieodżałowanej pamięci Edward Jelinek dawniej, a Czerny Adolf i po dziś dzień, poświęcali się badaniom naszego własnego kraju i narodu. Nieposledni znawca piśmiennictwa i języków południowo słowiańskich, p. Lego śledzi bacznie rozwój umysłowego i społecznego życia Serbów, Chorwatów, a zwłaszcza Słowieńców. W częstych wycieczkach po ziemiach zamieszkałych przez tych ostatnich, poznaje kraj, lud, jego zwyczaje, a następnie uzbierany materjał naukowy ogłasza od lat, bez mała czterdziestu, w pismach czeskich. Można więc żywić uzasadnioną nadzieję, że i tegoroczny pobyt Szanownego autora śród Słowieńców nie pozostanie bez śladu w literaturze czeskiej. (Przyp. tłumacz.)

Po wzajemnem między sobą porozumieniu przyszli pobratymowie, udają się do księdza, powiadamiają go o swych zamiarach i płacą mu każdy po sześć librów na mszę i światło. W dzień, w którym się nabożeństwo ma na ich intencję odprawić, a bywa to najczęściej w jakiś dzień świąteczny, połączony z jarmarkiem, nowi pobratymowie udają się do kościoła zbrojnie i strojnie. Jeżeli obaj pochodzą z tej samej wioski, wówczas towarzyszą im krewni i najbliżsi przyjaciele z obu stron, w przeciwnym zaś razie orszak składa się wyłącznie z rodziny i znajomych, zamieszkałych we wsi, w której obrzęd się odbywa. Doszedłszy do kościoła, pobratymowie składają u progu broń, poczem klękają w świątyni obok siebie, trzymając po zapalonej świecy w ręku. Po za nimi staje z dwoma płonącemi świecami żupan, który też spełnia niekiedy, podczas obrzędu, obowiązki weselnego starosty. Poczem zbliża się ku nim kapłan i najpierw zapytuje, dla czego sie bratają? Na co starszy odpowiada: »Za ljubaw« (z miłości). Wówczas kapłan zwraca się do nich z dłuższą nauką, w której tłómaczy doniosłe znaczenie pobratymstwa, chwali ich postanowienie, ale jednocześnie zwraca uwagę, że znajdą się liczni nieprzyjaciele, wewnętrzni i zewnętrzni, którzy będą usiłowali rozerwać święty związek. Niechże więc w chwilach takich broni ich przed pokusą wspomnienie uroczystego dnia dzisiejszego, w którym oto przysięgają sobie miłość i wierność przed obliczem Boga, biorąc Najwyższego za świadka szczerości swych uczuć. Obowiązkiem jest ich niemniej zastanowić się poważnie, jak wielką biorą odpowiedzialność, każdy za siebie i jeden za drugiego, z chwilą, gdy przed kapłanem składają przysięgę, jako »chcą zachować i zachowają sobie wzajemnie wierność aż do śmierci; jako miłować się będą niby bracia rodzeni; jako we wszelkiej potrzebie pospieszą sobie z pomocą; jako jeden nad drugim czuwać będzie, osłaniać przed grożącem niebezpieczeństwem, a w razie potrzeby położy bez wahania głowę za pobratyma swego«. Poczem kapłan odmawia nad ślubującemi modlitwy i udziela im błogosławieństwa.

Po skończonem nabożeństwie nasi pobratymowie rzucają się sobie w objęcia tuż zaraz w świątyni pańskiej, ściskając się i całując z uniesieniem, które wyciska obecnym łzy rozrzewnienia. Po wyjściu zaś z kościoła pobratymowie, ich krewni i przyjaciele strzelają na wiwat, wznoszą okrzyki wesela i gwarnym, rozradowanym tłumem udają się do domu tego z pobratymów, który mieszka najbliżej kościoła.

Tutaj następują ponowne uściski, powitania, powinszowania i życzenia, składane w imię Boże, przyczem pobratym gość nazywa ojca pobratyma gospodarza pootczymem, matkę — pomajką,*) siostrę — posiestrzymą, syna — posynkiem i obdziela wszystkich podarunkami: tej ofiarowuje czepek, tamtej chusteczkę, owym po pakieciku tytoniu, żonie sztuczkę płótna, dzieciom zaś daje kołacze, jabłka i inne owoce. Potem wszyscy siadają za obficie zastawiony stół, pobratym zajmuje miejsce obok pobratyma, inni siadają podług starszeństwa i pokrewieństwa. Między zaproszonymi gośćmi nie brak i księdza, który udzielał błogosławieństwa. Podczas uczty wnoszą się zdrowia pobratymów i wygłaszają na ich cześć toasty w takim mniej więcej duchu: »Na zdrowie naszych pobratymów, aby przez cały rok pili i zdrowi byli! Dokądkolwiek pójdą, niech jeden wywiaduje się o drugiego. Daj im też, Panie Boże, aby się wzajemnie miłowali, nigdy ku sobie nie zobojętnieli i żyli kopę lat i roków«.

Po skończonej uczcie całe towarzystwo udaje się na plac i tańczy tam »Koło« przy dzwiękach kapeli, złożonej ze skrzypiec, fletu i kobzy. Przez cały czas trwania zabawy pobratymowie trzymają się za ręce, nie rozłączając ani na chwilę. Gdy nadchodzi nareszcie pora pożegnania, kobiety domowe przynoszą podarunki dla pobratyma gościa. Ofiarowują mu koszule, pięknie wyszywane »narówki«**) i napełniają torbę jego przysmakami. Po rozstaniu się ze sobą obaj pobratymowie strzelają raz poraz, wołając po każdym wystrzale, dopóki mogą słyszeć swój głos, »Pobratime, eto ti jabuka!« (Pobratymie, oto masz jabłuszka!)

Po upływie pewnego czasu ten z pobratymów, który gościł najpierw drugiego, obowiązany jest nawiedzić jego rodziców i powitać całą rodzinę, którą teraz uważa za własną i która go też przyjmuje, jak gdyby należał do niej krew z krwi i kość z kości. Powtarza się tu poraz drugi takie same »wesele« jakie się odbywało w domu pierwszego pobratyma w dzień ślubowania.

W sposób wyżej opisany posiestrzają się też i kobiety. Zamężnym mężowie wyprawiają wesele, dziewczętom — bracia lub ojciec. Zdarza się też, że dziewczyna wstępuje w związek pobratymczy z młodzianem i żyje z nim w miłości, zgodzie i czystości, jak gdyby byli siostrą i bratem. A należy przytem pamiętać że w żadnym kraju brat nie otacza siostry tak czułą, tak rycerską opieką, jak w Serbji i Chorwacji.

Zdarzyło się przed kilku laty, że w wioscce, położonej w pobliżu Kotora, dwaj młodziankowie dali sobie słowo wstąpić w związek pobratymczy. Ale wpierw nim do tego przyszło, jeden z nich zmarł niespodzianie. Wówczas

*) Majka — matka po serbsku.

**) Rodzaj kamaszy wełnianych, okrywających całą nogę aż po kostki. (Przyp. Autora.)

siostra nieboszczyka posiestrzyła się z wybrańcem brata i żyje z nim dotąd w szczerej, szlachetnej, przyjaźni.

Charakterystycznem jest i to, że małżeństwa między pobratymami a posiestrzymami są wzbronione. Natomiast gdy jeden z pobratymów się żeni, zaprasza drugiego na drużbę, jak gdyby ten był bratem jego rodzonym. Krewni zaś obu stron uważają się za powinowatych i przy spotkaniu pozdrawiają się i ściskają, jakby do jednej należeli rodziny.

(Dokończenie nastąpi.)

Spolszczyła *M. W.*

5)

„Pan Tadeusz“ Mickiewicza jako Epos.

V.

Drugą cechą, wspólną „Pana Tadeusza“ z epopejami samorodnemi, jest wiara prosta i szczera, chociaż ma się rozumieć nie tak naiwna jak w arcydziełach poezji pogańskiej. W „Ramayanie“ i „Mahabharacie“ wiara metafizyczna i skrzydlata każe bogom wcielać się w ludzkie postacie, dla pokonania potwornych demonów, albo też sprowadzenia ich z nieba górnego, aby patrzyli na dzieła bohaterskie, siedząc w obłokach, niby w apoteozie operowej.

W poematach Homerowych — stosunek bóstw do człowieka jest jeszcze bliższy, a wiara kojarzy się z zabobonem i jest bezkrytyczną i nie nakazuje ludziom wielkiego szacunku dla niebian. Bogowie Olimpu są potężni, ale pospolitują się zanadto, wtrącają się ciągle do swarów ludzkich. Wojacy godzą na nich z orężem, boginie intrygują i kłócą się jak przekupki. Odyseusz za życia wkracza do krainy umarłych i korzysta tak samo z wdzięku nimf i bogiń drugiego rzędu, jak Zeus z miłości ziemianek.

W epoce, gdy krytycyzm zaczął trochę już podkopywać wierzenia pierwotne, starożytni dziwili się błędom swych bogów. Wergiljusz w „Eneidzie“ przejęty litością nad losem bohatera woła:

> Muzo, wykaż mi źródło czemu obrażona,
> Tyle trudów i przygód zesłała Junona
> Na męża, co go wsławił żywot świątobliwy,
> Takież to bogów nawet rozjątrzają gniewy [1])

W ostatnim wierszu i w całym poemacie widać, że Wergiljusz traktuje podania mityczne nie naiwnie lecz po literacku, jako formy wierzeń ustalonych, że nie mają one dla niego tej siły obowiązującej, co dla poetów z epoki bohaterskiej. Dla nich wiara była naprawdę węzłem, łączącym niebo z ziemią, siłą młodzieńczą przenikającą całą naturę drganiem żywotnem i płodnością, albo jak u Indusów tchnieniem bożego ducha, wcielającego się we wszystkie formy życia przyrody i człowieka. Grecy spoglądali na różne sprawy ludzkie z wielką pogodą, ich etyka pobłażała nawet niższym namiętnościom ludzkim, które miały na Olimpie swych protektorów i przedstawicieli. Pod tym względem poematy indyjskie mają daleko wyższy poziom etyczny. Bohaterowie ich, wyszkoleni w ascezie, są szlachetniejsi i bardziej idealni od greckich wojaków i żeglarzy, w których grają nieraz bardzo grube instynkta, żądza mordu i łupieży.

Dostojność moralna poezji Mickiewiczowskiej jest bardzo wielka. Sam wieszcz, jako charakter, należy do najczystszych i najszlachetniejszych w rzeszy wielkich poetów. Można go postawić obok Dantego i Miltona, pod względem napięcia powagi duchowej, harmonji pomiędzy słowem a czynem, ideałem a życiem. Ta dusza czysta, uznająca za naczelny dogmat życia promieniowanie miłości bratniej, nie była zapewne wolną od słabostek ambicji, miała chwile szałów i krewkich odurzeń, przekraczał Mickiewicz jednak nietylko przeciętną miarę ludzkiej wartości, ale jako charakter — lśnił blaskiem i ciepłem wiosennego słońca.

Tymczasem u artystów i twórców, wrażliwość i nadczułość bywają najczęściej matkami egoizmu, a ruchliwa fantazja nie zawsze pozwala charakterom się stężyć w kryształach trwałych i szlachetnych. Dzisiaj, gdy w sztuce stał się modnym indeferentyzm moralny, gdy niektórzy dekadenci zamiłowani w smakoszostwie formy — okazują dziwny popęd do zgnilizny, ta czysto ludzka strona życia i czynów wielkiego poety — może być pięknym przykładem Co więcej powinna być przestrogą, że wykwint formy nieokupuje czczości myśli i próżni moralnej, że kabotynizm, wirtuozostwo, kuglarstwo w sztuce, nie zrobią z niej karmicielki dusz.

Mickiewicz w epoce pisania „Pana Tadeusza“ nie był jeszcze późniejszym apostołem, nie skupiał sił ducha w ascezie, nie zaprzepaszczał jasności rozumu w zawrotnych, choć szlachetnych — obszarach mistyki mesjanicznej. Wiara jego była jak zawsze siłą żywą, która

[1]) Wergilego Enejda przekład F. Wężyka 1888 r. Kraków, str. 12, wydanie nowe.

pracuje i rozwija się niezależnie od ustalonych form religijnych, szanowanych zresztą przez poetę skrupulatnie. On dumny, arcymistrz, poufale ośmielał się gadać z tym, co króluje w niebie i na jego łono wylewał burzę we łzy roztopioną, ale dar swój uważał za łaskę Bożą.

Po ukończeniu „Pana Tadeusza“ nazajutrz w kościele Saint Louis d'Antin, wysłuchał mszy z przyjaciółmi, z którymi dzielił rozkosze tworzenia. Wiara poety łączy się w poemacie z uczuciem rodzimem i wiarą ludową w kulcie Boga Rodzicy, której cudowi, uproszonemu przez modły, zawdzięczał w latach dziecięcych powrót do życia w ciężkiej chorobie. Na cześć wiosennego święta Królowej Niebios cała natura stroi się uroczyście.

Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny,
Kwietnej. Pogoda była prześliczna, czas ranny,
Niebo czyste wokoło ziemi obciągnięte,
Jako morze wiszące, ciche, wklęsłe, wgięte;
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna,
Przez fale; z boku chmurka biała sama jedna
Podlatuje, i skrzydła w błękicie zanurza,
Podobnie do mknących piór anioła-stróża,
Który nocną modlitwą ludzi przytrzymuje
Spóźnił się, śpieszy wracać między współniebiany.

Pobożność Mickiewicza nie jest sztuczną ani wymustrowaną, ma jakby świeżość wiary pierwotnej, która łączy człowieka ze sferą nadziemską i każe mu widzieć w życiu widome znaki mocy, rządzącej światem. Tylko wielki w swej prostocie poeta, mógł napisać obraz nabożeństwa wiejskiego (w księdze XI) taki cudny i szczery, że ścisnęło mi gardło, gdym go po latach odczytał niedawno.

Wiara, zbratana z uczuciem, przodującem w naszej poezji, rozlewa blask nadziemski w końcu przepięknej sceny spowiedzi Jacka. Przed zgonem, jako dobry katolik, chciał zmyć winę burzliwej młodości, przebaczeniem z ust wroga płynącem. Otrzymuje w tej chwili wieść radosną dla kraju i ten niegdyś zabójca, później żołnierz i pokutnik — żegna życie z ciszą i pogodą, zapatrzony w świtanie zaziemskich blasków:

Jacek, słuchając, cicho odmówił modlitwy,
Przycisnąwszy do piersi święconą gromnicę,
Podniósł w niebo zatlone nadzieją źrenice
I zalał się ostatnich łez rozkosznym zdrojem.
„Teraz, — rzekł — Panie sługę swego puść z pokojem.“
Wszyscy uklękli; a wtem ozwał się pod progiem
Dzwonek: znak, że przyjechał pleban z Panem Bogiem,
Właśnie już noc schodziła i przez niebo mleczne,
Różowe — biegą pierwsze promyki słoneczne;
Wpadły przez szyby jako strzały brylantowe,
Odbiły się na łożu o chorego głowę
I ubrały mu złotem oblicze i skronie,
Że błyskał jako święty w ognistej koronie.

Jednem słowem — wiara o ile się objawia w „Panu Tadeuszu“, jest aktem promienienia duszy, porywem uczucia i tęsknoty ku nadziemskiej krainie.

Zupełnie inną jest np. potężna religijność Dant'a, jego wiara — ujęta w system wspaniały, wykończony w swej budowie, połączony z kodeksem prawd bezwzględnych, moralnych i politycznych, według których poeta sądzi siebie i całą swoją epokę z nieubłaganą konsekwencją. Wiara Danta jest wiedzą rzeczy zaziemskich, ujętą w karby systematu teologicznego, najwyższą wieżycą kościoła mądrości. Średniowieczna epopeja Danta, to wynik wysokiej samowiedzy religijnej i literackiej, arcywzór architektoniki i stylu. Pomimo siły natchnienia i religijnego nastroju, poeta włoski jest w pewnych szczegółach sztucznym. Na początku piekła wzywa muzy, przy wstępie do czyśćca przemawia do Kaliopy, u wrót raju błaga Apollina w długiej przemowie i obiecuje uwieńczyć go laurem, jeżeli pozwoli mu objawić wyryte w głowie państwa świętego zarysy[1]).

Tą niekonsekwencją grzeszą prawie wszyscy wielcy epicy z epoki odrodzenia, na których mózgu ciężą formuły, przyjęte z literatur starożytnych.

Od nieszczerości podobnej wolne są epopeje samorodne nie tylko literatur pogańskich, ale „Nibelungów“, w których wiara i pierwiastek religijny słabo się przejawiają. W kilku miejscach poematu widać uległość dla panującej religj i gorliwość prawowierną głównej bohaterki Krymhildy, która poślubia poganina, Atyllę, żeby lud jego skłonić do wiary prawdziwej. Znać jednak że chrystjanizm jest tu zewnętrznym tylko pokostem natur barbarzyńskich, dyszących nieposkromioną ambicją i pragnieniem zemsty. Chwilami natomiast błąkają się tu resztki pogańskiej legendy o smoku i czarodziejskim kapturze, nadającym bohaterowi cudowne przymioty. Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ potrąca także o legendy i zabobon ludowy, opisując matecznik, jako błogosławione królestwo zwierząt i roślin, jako tajemniczą niedostępną ustroń, pełną moczarów i jeziorek rdzą krwawą pokrytych, w wnętrzu których wielkie jest podobieństwo, że djabły siedzą. Przed wybuchem wojny — lud snuje wróżby ponure z ukazania się komety, krzyku ptaków drapieżnych, a strażnicy leśni widzą straszną postać morowej dziewicy. Mickiewicz uważał zawsze wiarę ludową, jako jeden z czynników odświeżenia poezji. Dlatego też w sposób naturalny, bez podrabiania, zbliżył się do prostoty pierwotnych epików, zwłaszcza gdy malował wiernie nastrój umysłów, żyjących w ciszy zaścianka i kołysanych szumem puszcz prastarych. Zresztą — tak jak wszyscy poeci genjalni posiadał on w najwyższym stopniu wiarę poetyczną, ten nadzwyczajny dar przejmowania się wizjami i płodami wyobraźni własnej, ten czar twórczy, dzięki któremu obrazy zmyślone, staj

[1]) Dante Alighieri: „Boska Komedja“, przekład Stanisławskiego. Krakow, 1887 str. 495 i 6.

się niemal dokumentami życia, a postacie fantastyczne powiększają czeredę istot rzeczywistych. Wskutek tej wiary, pamięć Soplicowa żyć będzie w sercach wnuków naszych przez długie wieki, chociaż tej miejscowości nie można znaleść na żadnej karcie geograficznej. Wszystkie zaś postacie „Pana Tadeusza", począwszy od obywatela-sędziego, skończywszy na głupim Saku Dobrzyńskim, mają także zapewniony żywot w czarodziejskiej krainie, gdzie raz ujęte kształty zostają bez zmiany, a młodość zachowuje nigdy nie gasnący rumieniec. W tej krainie Tadeusz będzie zawsze ślicznym ułanem z ręką na temblaku. Zosia dziewczynką w zielonej sukience, chociaż kto wie, może biedaczka oczy wypłakała, jeśli jej drogi chłopiec zginął podczas przeprawy przez Berezynę, albo przepadł bez wieści w śnieżycy, co zasypała glorję napoleońską, a z nią tyle ułudnych marzeń współczesnego pokolenia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Józef Kotarbiński.

Komissja śledcza warszawska z r. 1863.

7) (Wyjątek z pamiętnika.)

Ksiądz Zaleski spowiednik X. Pawilonu. Zdawało by się, że w tych kilku wyrazach nagłówka, zostawiwszy pole i domyślności i wyobraźni czytelnika, mieścić się powinno wszystko, gdybyśmy niemieli mocnego przeświadczenia, że nawet wyobraźnie nawykłe błąkać się po śmietnikach ludzkiego upadku, w tym jednak szczególnym razie niewystarczyłyby. Trudno jest wymarzyć coś zupełniej upadłego i ze stanem zdrowia umysłowego, mającego związek nader mały. Traf pozwolił piszącemu oglądać z bliska tego dziwoląga, rozmawiać z nim, wysłuchiwać jego konfidencji. Ponieważ pieniędzy tak wprost, cynicznie z ręki do ręki nie brał, natomiast »accipe« na mszę, wypłacone w dukatach — bez wstrętu przyjmował, i względy u dawnych kolegów jakieś mieć musiał, a tu szło o człowieka, któremu dopomódz należało, więc niestety i skrupuły zostawić wypadało do lepszych czasów.

Syt lat i chwały odpoczywał już ksiądz Zaleski na dobrem probostwie, jako administrator kościoła po-Bernardyńskiego w Piotrkowie. Był to także w twoim rodzaju panis bene merentium, na który mimo wszystkiego, i licząc wszelkie trudności, w jakich się duchowieństwo ówczesne znajdowało, nie wiadomo — jak władza dyecezjalna zgodzić się mogła. List, który wiózł z sobą piszący od osoby, której ksiądz Zaleski był z innych względów obowiązany, dawał rękojmię, że będzie można po prostu z mostu rzecz przedstawić i jakieś korzyści z tego interviewu wyciągnąć.

Pociąg do Piotrkowa przychodził z Warszawy o godzinie $9^1/_2$. Sprawa nie cierpiała zwłoki, więc nie znając miasta, trzeba się było co prędzej o ów klasztor po Bernardyński dopytać. Jakoż odnalazła się miejscowość i zawiązała się między przybyłym a jakiemś indywiduum zgarbionem, starem, mrukliwem rozmowa tej treści:

Czy ks. Zaleski w domu?

Co ma być w domu; nie w domu.

Gdzież jest?

Gdzie ma być? Wyszedł . . . . i tyle.

Ponieważ działaliśmy na gruncie w połowie cytadelnym, trzeba się było uciec do środków na całym świecie skutecznych, ale w tym elemencie najodpowiedniejszych; widocznie rozmowa bez tego ułatwienia niebyłaby doprowadziła do niczego.

Starowina wziął datek, obejrzał i przeliczył, schował i przybrał postawę gotowego do jakichś przecie odpowiedzi na zadawane pytania. Był to, jak później miał sposobność sprawdzić piszący, stróż czuwający nad osobą i bezpieczeństwem administratora klasztoru, księdza Zaleskiego, zakrystjan przytem i furtjan. Tego rodzaju Leib-garda wydawała się księdzu nieodbicie potrzebną, bo się ciągle jakiegoś atentatu na swoją osobę obawiał. Bodajto mieć sumienie spokojne!

I gdzież jest ksiądz Zaleski?

W kościele jest. Zawszeć on to przecie.... jakby to powiedzieć? Zawszeć on to ksiądz jest, to jest w kościele.

Nietrudno było zrozumieć, że choć staruszek obowiązek spełniał, ale szczególnym szacunkiem i życzliwością dla osoby duchownej, której służył, wcale się nie odznaczał.

Czy to msza teraz?

A juścić niby msza. Ale niech-no jegomość uważa. Nie trzeba mu tam mówić, broń Boże, że to ja powiedziałem, gdzie on jest, bo on tego okrutnie nie lubi, jak komu pokazać, gdzie on poszedł. Oh!, że nie lubi, to nie lubi i gniewa się.

Przyobiecawszy to czego żądano, udał się przybyły do kościoła. Był to jakiś dzień galo-

wy drugiego rzędu; wczoraj zaś czy przedwczoraj było święto dworskie pierwszego stopnia; o tem jednak przybyły miał się dopiero w następstwie dowiedzieć.

Msza istotnie była przed wielkim ołtarzem, a że dobrze jest obejrzeć kogoś nie będąc widzianym, jeśli się ma do niego interes, choćby to nawet był osławiony ksiądz Zaleski, więc trzeba było wytrzeszczać oczy, bo i dzień był pochmurny sam z siebie i światło w kościele słabe bardzo. Pierwsze wrażenie odebrane — było nieokreślone; a właściwie mówiąc mniej straszne niż opinja. Coś bardzo nieznaczącego; postać drobna dosyć, włosy jasne, jakiś wygląd chorobliwy, twarz nie tylko pospolita i nic nie mówiąca, ale nawet pozbawiona wszelkich cech, które tak rozgłośnemu jak było łotrowstwo tego człowieka — towarzyszą. Lat 40, może trochę więcej. Przygotować się na spotkanie łotra, a zastać łobuza, jest-to zawsze rodzaj dezilluzji.

Błąd to był jednak i gruby, bo oto msza miała się ku końcowi, jeszcze chwila, a po benedykcji przemówi do nas ksiądz Zaleski sam, a to go powinno lepiej zaprezentować niż wszelkie opisy.

Ponieważ takich wrażeń nic w pamięci zatrzeć nie może, więc i dziś po latach dwudziestu przeszło, widzimy to wszystko, jakby na jawie i za najskrupulatniejsze, ba... dosłowne powtórzenie — solennie ręczymy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

7) # ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

Dotarł nareszcie do wsi, jak żebrak obchodzi chałupy, szuka, obwąchuje — i tu wszędzie zaspy. Nie uciekał z przestrachu, choć słyszał chrapanie ludzkie, mruki krowie, beki cielęce, tupanie koni. Wszelkie żywe stworzenie wypoczywało o tej porze i — ma się rozumieć — nie naczczo. Psy pozaszywały się gdzieś w barłogi — przynajmniej z tej strony zając mógł być bezpieczny. Natrafił szczęśliwie na dziurę w płocie, wlazł do chłopskiego sadu, zaczął ogryzać gałązki szczepia i byłby tu pewnie pokrzepił mocno podupadłe siły; ale naraz kogut zapiał, hałaśliwie trzepocąc skrzydłami, gęsi podniosły wrzask nadzwyczajny, a jednocześnie małe dziecko rozkrzyczało się w chacie. Takiej wrzawy nie zniesie najmężniejsze serce zajęcze, więc i on umknął.

Przebiegł teraz przez staw szeroki, zamarzły, śniegiem zawiany i znalazł się u stóp białego pałacu. Naprożno szukał tutaj, wąchał naokoło nic nie znalazł, tylko twarde zimne mury. Ztąd podążył ku dworskiej kuchni i w jej okolicach uprzątnął zlodowaciałe resztki gotowanych kartofli, marchwi, grochu, które prawdopodobnie wieczorem wylano razem z pomyjami.

Z pod kuchni puścił się głównym szpalerem przez ogród ku inspektom. Dopiero tutaj odkrył pod śniegiem skarby rzetelne w wielkiej obfitości: nawpół zgniłe, przemarzłe głąbiki kapusty, kalafjorów, łodygi wspaniałych kardów.

Już dzień świtał, a on czerpał jeszcze nienasycony z owej kopalni, jak gdyby chciał najeść się odrazu na dni kilka.

Zawierucha też ustawała, niebo się przecierało, a świat pozłacał obłoki, kiedy nasz szarak syty pomyślał o spoczynku i wykonywał odwrót z ogrodu.

Tuż za płotem potknął się na jakimś zającu, który widocznie nie miał sił iść dalej, padał, a może i dogorywał. Ha, za niewytrzymałość życiem się płaci!

Natomiast nasz zając złożył dowody wytrwałości, dzielności, godne, aby je przekazać w dziedzictwie gatunkowi, a przeto musiał się teraz wyspać należycie. Oby ziemia takich miała jak najwięcej!...

Nie kwapił się zbyt daleko i postawił klucze podług odwiecznej tradycji zajęczej, a potem rzucił się w kotlinę śnieżną, jak w piernat. Gdyby mu w młodości słuchów nie obcięto, byłby je także obyczajem praszczurów położył po sobie. Niebiosa wytrząsnęły jeszcze resztę śniegu i łaskawie tą pierzynką nakryły szaraka. Opłaci się żyć, aby mieć szczęśliwe chwile zasypiania bez troski. Teraz mocno sobie postanowił spać twardo i jak najdłużej dotrzymywać w kotlinie.

Stan powietrza był taki, co to bez względu na zapowiedzi barometru i kalendarza można przewidywać odwilż: śnieg woskowo miękki ma lekko fjoletowy odcień, słońce się mieni za chmurami, a podmuch wiatru głaszcze.

Jakoś około południa zając posłyszał, że w pobliżu kotliny śnieg się zapada; „chrup, chrup“— odgłos, który przed odwilżą nie jest przykrem skrzypieniem. Baczność! Koń parsknął; oo, źle! Najgłupszy zajęczyna wie doskonale, że w takich razach i przy tym stanie powietrza należy bezwarunkowo dotrzymywać, dopuścić do ostateczności, a potem zobaczymy... Od tysięcy wieków miljardy zajęcy zginęły, trzymając się tego systemu samoobrony; ale że jednak niektóre szczęśliwie ocalały, przeto dotrzymywanie w kotlinie nie wyszło z użycia. „Tak zginął ojciec, dziad, pradziad, to i ja mogę...“

Jeździec także obyczajem prodków najechał koniem, cmoka i z harapnika strzela tuż nad uchem szaraka: „Wyrusz-no, kochanku, w pole!“ Gach nie śpi, wytrzeszczył ślepie, widzi doskonale: człowieka na koniu i dwa czarne charty, które aż drżą do pogoni. Serce mu bije na wielką

trwogę. „Tradycja tradycją, strach strachem... Nie, niepodobieństwo dłużej dotrzymywać!“ Uczuł pod sobą skoki, zebrał wszystkie siły i wypadł, jak z procy.

Zakurzył się puch śnieżny od zajęczego susa; i psy na chwilę zgłupiały, i koń w bok skoczył, i czapka jeźdzca zachwiała się na głowie. Wybuch z pod ziemi każdego stropi. A on się tymczasem w oka mgnieniu odsadził i gnał już po polu.

Rozpoczęto teraz szaloną gonitwę, a śnieg miękkuchny zdawał się nieustannie połykać nogi zapaśników. Zając, lżejszy, mniej tonął, zato psy silniej. Wykonał skok-arcydzieło, dał psom obrót, także odwieczna tradycja. Sunie i nagle zapadł się w rowie, jak pod ziemią, a psy runęły za nim i zniknęły również... Teraz widać było tylko jakiś gwałtowny ruch, szalenie niespokojne kotłowanie rozdartej powierzchni śnieżnej.

Krótko to wszystko trwało i już oto szarak się wyrwał z takim rozpędem, że bryły śniegu prysnęły na wszystkie strony, a on w niezrównanym pędzie mknął po białem polu. Wypadły i charty z czeluści rowu, nim go spostrzegły, wodziły chwilkę tu i ówdzie błędnemi oczyma. Tam, tam, szary punkt miga na białem morzu, zdaje się przemawiać: „Chwalić Boga, umiemy jeszcze dobrze uciekać!“ I one znowu za nim strzeliły, podniesione przez jeźdźca głośnem „huź go!“

Słaby pewnie nie podoła mocnym i zginie.

Zając zwijał się dzielnie, ciągle dawał psom obroty; ale jednak znać było, że go siły opuszczają, a tu psy docierały. Górka — gra się chyba skończy... Nie, coś lekko bieży — oho, jest już na szczycie!

Jeździec daremnie usiłuje dojeżdżać: koń się zapada, potyka.

Otóż i gonitwa z góry na dół: rozmach ogromny! Jeden z chartów natarł i piersiami tak rozbił szaraka, że go przewalił, razem z nim szalonego kozła wywrócił; drugi dopada — znowu to samo: postaczały się z góry. Jeszcze ze sto kroków i — las, zbawienie, byleby jeździec nie zabiegł drogi...

Kot pędzi i — pstryk w lewo przed samymi pyskami chartów. Wyminęły go, przebiegły, przystanęły z wywieszonymi językami, zziajane... A on, w bok i poszedł do lasu.

Trzeba wiedzieć, że niejaki pan Węglicki odbywa polowanie z chartami, które szaraka dopędzą, przeskoczą, przewrócą, a jednak wziąć nie umieją: Pan rządca z Morzelan ma chrapkę sprawić kiedy łaźnię temu charciarzowi, płoszącemu zające na cudzych gruntach. Toż w następnym roku na jesieni nasz bezuchy szarak, uchodząc przed psami Węglickiego, wpadł między owce i, jak ongi Odyseusz, ocalił się przy pomocy baranów.

Ale skończmy z zimowemi przygodami zająca.

Nastała odwilż, potem zadymka, a po zadymce — mróz siarczysty. I w noc mroźną pogodną, zrobił się ogromny ruch wygłodzonych zwierząt dzikich. Co żyło, szło na poszukiwanie żeru. Dziki i sarny torowały w zaspach gościniec, a po ich śladach puszczały się pomniejsze zwierzęta. Taka główna, dobrze wydeptana droga jest pożyteczną i zarazem wielce niebezpieczną, gdyż na niej to wszyscy nocni łowcy uprawiają swoje rzemiosło. Kłusownicy, jeśli tu w przesmykach nie czatują ze strzelbami, to na drodze owej zastawiają żelaza, wnyki, samołówki rozmaite. Wilki, lisy, kuny, psy zwleczone, wałęsają się tam, włócząc nosy po tropach zdobyczy. Człowiek szuka tu mięsa i skóry, inni łowcy — tylko mięsa, a wszystko to-to chytre, przebiegłe, podstępne.

Oj, straszne rzeczy dzieją się na tych zwierzęcych drogach w nocy zimowe! Głodny napada głodnego i bez skrupułu dusi, szarpie, rozdziera, zjada. Przyroda wypowiada tam szczerze, otwarcie swoje prawa moralne. Ludzie skrycie to spełniają, nosząc w duszy dwa niedoścignione ideały — cnoty i szczęścia. Cóż, kiedy szczęścia nikt nie posiądzie, a cnoty nikt nie chce poślubić!

Skromne zwierzę tylko wyżyć pragnie; człowieka przygniata jego genjusz i nieszczęście.

Na strasznej drodze zimowej — w lasach morzelańskich nasz szarak spotykał nocą i kłusownika Teterę, i Malwę, strzelca dworskiego, i wnyki, cewy, żelaza, i Kitę, lisa szczwanego, i wilki, i psy włóczęgi.

Wyborna szkoła życia!...

(D. c. n.)

Lili.

ŻAŁOSNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

— Wszystko razem dowodzi, że to są najszlachetniejsze na świecie kobiety! Tak sobie wytłumaczył w kilka godzin później ich zachowanie się dziwne. Uspokoił się zupełnie, bo wiedział, że był kochanym i, że żadne przeszkody nie leżą na drodze do zupełnego szczęścia.

Olkowskiego w domu nie było, natomiast zastał list od panien, które wczoraj spotkał z Lilą; zapraszały go w imieniu ojca, aby zechciał z niemi spędzić dzisiejszy wieczór wigilijny. Przeczytał go, schował do kieszeni i zapomniał o nim zaraz. W mieszkaniu było dziwnie zimno, pusto i brzydko; ale że nie miał

gdzie iść, zaczął chodzić po pokoju i rozmyślać o Lili.

»Kocham cię!« Powtarzał jak echo i rozpłomieniał się, wyciągał ramiona, jakby chciał objąć tę drogą, ukochaną istotę, ale równocześnie jakiś ciemny niepokój przenikał mu serce, przyćmiewał wewnętrzne płomienie; stawał na środku pokoju bezradnie, oglądał się dokoła, słuchał, jakby chcąc się dowiedzieć, zkąd pochodzą te dziwne dreszcze obawy, dlaczego są w nim teraz, w takiej chwili? Nie znalazł w sobie odpowiedzi, ale czuł coraz silniej, że przez tę jasność miłości, przez to jej promienne słodkie »kocham cię« przenika coś niewytłumaczonego, podobnego do głuchej jeszcze obawy, a pełnego udręczenia bolesnego. Mrok cicho się zwiewał z pól zaśnieżonych i okrywał miasto szeroką mgłą, gdy znalazł się na ulicy.

Miasto cichło i niemiało zwolna, w powietrzu mroźnem czuć było jakiś nastrój uroczysty. Z okien biły radośne światła zapalonych choinek, przez zamarzłe szybki — wydzierały się w świat radośne głosy. Nad rzeką zajrzał przez małe, nizko nad ziemią położone okienko do wnętrza jakiejś izby, na której środku stał stół jasno świetlony i otoczony całą gromadą ludzi, jedzących kolację.

Cofnął się prędko. Uśmiech politowania przemknął mu po ustach, poszedł dalej, ale przyszło mu na myśl, że pierwszą wigilję spędza nie w domu, lecz wprost na ulicy.

— Głupie przesądy! — szepnął. — Gromadzą się w imię pełnej miski! — dodał z ironją i zaczął pogwizdywać, tłumiąc żal, bijący mu się przez serce. Poszedł na rynek i wolno obchodził wszystkie jego cztery boki i patrzył z ironją na przysłonione firankami okna, poza któremi czerniały profile ludzi i zkąd biły gwary rozmów i smugi świateł.

Mróz brał coraz siarczystszy.

Niebo skryło się i migotało blaskiem gwiazd, a gdzieś, z poza dalekich lasów, wschodził blady sierp księżyca i świecił coraz jaśniej. Długie sople, wiszące u dachów, połyskiwały fosforycznie, a cynkowe dachy kościoła świeciły roztopionem srebrem. Jedną połową rynku — rząd wysokich kamienic kładł błękitnawy, ogromny cień na puszysty, świeży śnieg, leżący na bruku.

Zakrzewski przejrzał się wszystkim domom po koleji, zajrzał w boczne uliczki i poszedł ku cukierni, ale cukiernia była zamkniętą. Nie wiedział teraz, co z sobą zrobić, gdzie iść, zaczynała mu ciężyć samotność i jakaś ostra tęsknota do domu, do gwaru i ciepła szarpnęła nim. Poszedł do Szalkowskich, bo mieszkali najbliżej; dopiero, kiedy się z nią witał, przypomniał sobie, że dawał niegdyś Lili uroczyste przyrzeczenie unikania ich domu. Byli oboje, ona leżała na kapie z papierosem w ustach i bawiła się z psem, była w szlafroczku porozpinanym i w pantoflach, a on w kuchni razem ze służącą robił kolację; ukazał tylko głowę przez drzwi i nie podając ręki, bo trzymał oprawianą rybę, zawołał.

— Dobry wieczór. Miał pan doskonały pomysł, przychodząc do nas, bo Hela tak się nudzi, że miałem iść na miasto i sprowadzić kogo do towarzystwa.

— Zje pan z nami kolację, prawda? Musi pan zostać, bo ja się śmiertelnie nudzę!

— Ja tylko na chwilę wpadłem do państwa, bo niemam czasu — tłumaczył się.

— Pomówimy później. Siadaj-no pan bliżej, o tutaj! Żepchnęła nogą pieska i nie podnosząc się z kanapy, wskazała mu miejsce przy sobie. Usiadł na krześle w pewnem oddaleniu i patrzył na nią ciekawie.

— Boisz się pan przy mnie siadać; to ciekawe, jak Lili pana wytresowała!

Zaczęła się śmiać, podając mu papierosy, a gdy wziął i zapalił, zakrzyczała:

— Jakto! a mnie pan ognia nie da?

Z zapaloną zapałką pochylił się nad nią, podając; wtedy ona pochwyciła go wpół i posadziła przy sobie.

— Siedźże pan tutaj, gdzie ja chcę. Todziu! daj nam herbaty!

Gdy Todzio wkrótce przyniósł herbatę i podał pokornie, rzuciła mu rozkazująco:

— A spieszże się z kolacją. Czegoż patrzysz? może się boisz, że Zakrzewski chce mnie bałamucić! To się po nim nie pokaże — dodała ze śmiechem, ściskając mu rękę.

Todzio wyszedł, a pomiędzy nimi zapanowało kłopotliwe milczenie. Szalkowska trzymała go za rękę i patrzyła w niego swemi sennemi, hypnotyzującemi oczami. Patrzyła długo, czekała, żeby przemówił; ale Leon nie wiedział, co mówić: bał się okazać śmiesznym, nie chciał i nie mógł z nią flirtować, bo kochał Lili, a przytem trochę się jej bał, bo wywierała na niego dziwny urok. Ciągnęły go te wielkie oczy, obiecujące tak wiele, kusiły go jej pełne, zmysłowe usta i te wspaniałe kształty. Mocny zapach perfum, jakich używała, odurzał go i rozdrażniał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czcionkami »Drukarni Polskiej« we Lwowie. (Pasaż Hausmana)